

Krzysztof Dorosz: Epifania Boga w świecie

Królestwo zjawisk to zaledwie zaścianek bytu. Nasza kultura pojęcia nawet nie ma, że ten świat jest zarazem innym światem. Trzeba go tylko dostrzec i poznać, choć oczywiście jest to trudne, a często wręcz niemożliwe. Ten natomiast, kto spogląda w górę, dobrze wie, że świat duchowy przenika świat naturalny i stanowi jego niewidzialny wymiar – pisze Krzysztof Dorosz w siódmym liście do prof. Bartosza Jastrzębskiego.

Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą

Mt 5, 8

Boga szukaj we wszystkim, bo On jest w każdej rzeczy

Mistrz Eckhart

Drogi Bartku,

Twój list jak zwykle przyniósł bogactwo tematów, które domagają się rozwinięcia. Wszystkich wątków podjąć niepodobna, więc dotknę tylko kilka z nich, a szerzej kontynuować będę temat serca, który nasunął mi

się w poprzednim moim liście, kiedy szukałem odpowiedzi na rzucone przez Ciebie pytanie o praktykowanie duchowego życia pomiędzy zakupami, zmianą opon, obowiązkami zawodowymi i rodzinnymi.

Przytaczając piękne myśli Grzegorza z Nyssy, dotykasz bardzo ciekawej i niestety na ogół zapoznanej w naszym świecie rzeczywistości religijnego poznania. Piszesz, że poznanie to w odróżnieniu od poznania naukowego zależne jest od stanu moralnego poznającego człowieka. Ależ oczywiście. Wiele lat temu natknąłem się na tę prawdę i poczułem się uderzony jej oczywistością. Mamy czynić dobro nie tylko dlatego, by spełniać wolę Boga, lecz i dlatego, by Go poznać lub przynajmniej zbliżyć się do Niego. Słowem, czynienie dobra kształtuje duchowe zdolności poznawcze. Nie mówiąc już o tym, że dobro jest wartością samą w sobie, przed którą, jeśli tylko czujemy jego moc i mamy czyste serce, chylimy czoło.

*Bóg przychodzi do nas w
przebraniu naszego życia*

I pewnie dlatego też
— jak piszesz dalej w
swoim liście —
“charakterystycznym
dla chrześcijaństwa

ćwiczeniem duchowym jest właśnie praktyka moralna — praktyka miłości bliźniego. Nic bodaj tak skutecznie jak ona nie wyniszcza naszego ego, bo bliźni, podobnie jak my sami, to nader trudny przedmiot miłowania: jest bowiem upadły, słaby, chwiejny, skłonny do zła”. Tak, to prawda. Przecież miłować bliźniego to tyle, co widzieć w nim najlepsze jego strony. To zwracać się do jego duszy, do serca, do zawartego w nim obrazu i podobieństwa, nie zaś spełniać jego egoistyczne potrzeby, choćby nawet ze szczerego współczucia płynące.

Ileż to razy ludzkie potrzeby, wydawałoby się niezbywalne, inspirowane są przez złe moce. Z czego wynika, że ludzka istota nie jest bynajmniej jednolita. Miłując bliźniego, nie wolno o tym zapominać.

“Duo sunt in homine” — są dwie natury w człowieku — pisał św. Tomasz w Teologicznej Summie. Kilkaset lat później wtórował mu Anioł Ślązak: “Ludzi we mnie dwóch: co Bóg, chce pierwszy mieć, drugi zaś, co świat, co diabeł i co śmierć”. Czyli dwie natury i dwa rodzaje świadomości.

Jest w nas świadomość codzienna, zwykła i nieprzemieniona, która już od kilkuset lat nadaje ton naszemu myśleniu i widzeniu świata. Opierając się na pozostających w jej zasięgu naukach empirycznych oraz na zdrowym rozsądku, jest pewna, że rzeczywistość duchowa bądź całkowicie wymyka się poznaniu, bądź po prostu nie istnieje. Nieraz też głosi światu, że Bóg jest li tylko urojeniem, a jedyną drogą do prawdy jest nauka. Znalazłszy się we władzy małego ludzkiego "ja", świadomość ta ogranicza się do czysto materialnych i ziemskich aspektów istnienia, do wszystkiego, co można zmierzyć, policzyć i sprowadzić do matematycznych ekwiwalentów. Nic zatem dziwnego, że nieprzemieniona świadomość, rządzona przez nasze ego, co krok przybiera postać wszechogarniającego “światopoglądu naukowego”. Nie zdaje sobie zarazem sprawy, że nie jest wcale uniwersalna, że ogranicza ją własna metoda poznawcza i własne wyjściowe założenia. Lecz choć ograniczona, jest nieskończenie zmyślna i pracowita. W triumfie przynosi światu wyniki swoich odkryć i badań, które wprawdzie są podstawą imponujących praktycznych osiągnięć, lecz zatrzymawszy się na powierzchni rzeczy, naznaczone są tym, co medycyna z dawien dawna nazywa rigor mortis.

Tak oto nasza kultura wyjaśnia zagadki bytu z nosem przyłożonym do ziemi. Dawno już uległa przekonaniu, że wszelka przyczynowość ma charakter wyłącznie linearny, drepce więc tylko w przód lub w tył, nie patrząc nawet w górę czy w dół. Toteż inny świat, opiewany przez mistyków, poetów i mędrców, istnieć po prostu nie może. Nie ma w królestwie zjawisk żadnych przyczyn, które mogłyby go do istnienia powołać. Nie ma i już!

*Nasza faustyczna cywilizacja z
rechosem prześmiewcy
odrzuca epifanie i archetypy*

Tymczasem
królestwo zjawisk to
zaledwie zaścianek
bytu. Nasza kultura
pojęcia nawet nie
ma, że ten świat jest

zarazem innym światem. Trzeba go tylko dostrzec i poznać, choć oczywiście jest to trudne, a często wręcz niemożliwe. Ten natomiast, kto spogląda w górę, dobrze wie, że świat duchowy przenika świat naturalny i stanowi jego niewidzialny wymiar. Wie również, że przyczynowość ma charakter nie linearny, lecz wertykalny i spływa na nasz padół z góry. Spoczywa w boskich archetypach, głębokich źródłach nieustannie odnawianych epifanii. Dlatego tożsamość człowieka, zwierzęcia czy kwiatu bynajmniej nie pochodzi z empirycznej ciągłości ich widomego istnienia. Wszak bez działania wiecznych archetypów, bez twórczych myśli Boga, bez tego co św. Maksym Wyznawca nazywał logoi, widome istnienie rzeczy dawno już stoczyłoby się w nicość.[1]

Nasza faustyczna cywilizacja z rechem prześmiewcy odrzuca epifanie i archetypy, mając je za rojenia szaleńców lub dzieci. Mędrzec natomiast, który oparł się pokusom podsuwanym przez królestwo zjawisk, nie ma wątpliwości, że nasz stworzony świat stanowi tylko materialny przejaw rzeczywistości niestworzonej. Pewien jest zatem, że niepodobna osiąść prawdziwej wiedzy fizycznego bytu, nie zdobywszy pierwszej poznania świata duchowego — niepodobna dlatego, że każde zjawisko, oderwane od swej wewnętrznej duchowej tożsamości, traci rzeczywistość. A straciwszy ją, ukazuje się nam w kalekiej postaci, choć przybranej w szatę niepodważalnego poznania.

Lecz gdzie mędrzec posiadał swą pewność, którą nowoczesny umysł musi podejrzewać o uleganie poetyckiemu marzycielstwu? Otóż dawno dawno temu z niepokojem przyglądał się nieposkromionej fascynacji i namiętności, z jakimi ludzie oddają swoje dusze zjawiskom tego świata. Toteż nie dał się im zwieść, nie zamknął w kartezyjskiej skorupie, nie marzył o wyspach szczęśliwych powstałych w wyobraźni Comte'a czy Saint Simona, nie otoczył się kołem wiedeńskim. Pozostał mędrce. Wiedział przecież, że w człowieku dwie są dusze i dwie świadomości. Jedna, nieprzemieniona i zamknięta we własnym ego, druga przemieniona i otwarta na duchową rzeczywistość, nieraz zwaną mądrością. „Przez [nią] — pisał św. Augustyn — staje się wszystko, co kiedykolwiek było i co jeszcze będzie. Ona zaś sama nie staje się, lecz taka jest, jaka była, i jaka zawsze będzie.”

W tym miejscu nieodparcie nasuwa się pytanie: jak dojść do przemienionej duszy, otwartej na duchową rzeczywistość? Bo nie ulega wątpliwości, że przemieniona świadomość niepomniernie ułatwi nam praktykowanie duchowego życia pomiędzy zakupami, zmianą opon,

obowiązkami zawodowymi i rodzinnymi. Zapewne nie ma na to pytanie jednoznacznej i rozstrzygającej odpowiedzi. Modlitwa? Medytacja? Duchowe praktyki kontemplacyjne? Wszystko to ważne, lecz być może wcale niekonieczne. Konieczne natomiast jest czyste serce, wolne od przesądów, z góry przyjętych założeń, nieokiełznanych wyobrażeń i rojeń. Wolne od władzy własnego ego, bezinteresowne, wrażliwe na najmniejsze drgnienia prawdy, dobra i piękna, zdolne spojrzeć w głąb rzeczywistości. Czyste i otwarte serce jest w stanie wyczuć Boga w spacerze z przyjacielem, w chorobie, w rozświetlonych słońcem źdźbłach trawy. Tyle że nie każdy zachwyt naturą, estetyczna ekstaza, erotyczne uniesienie czy intelektualna refleksja jest spotkaniem z Bogiem. W zamkniętym i zwróconym ku sobie sercu sam dźwięk słowa „piękno” czy „dobro” wywołuje niesmak. Współczesny człowiek za wszelką cenę chce uniknąć iluzji i z pasją demaskuje urojone byty. Dusza jest tylko tworem wyobraźni – oznajmił Francis Crick, odkrywca DNA – to zaś, co nazywamy umysłem, jest po prostu sposobem określania funkcji naszego mózgu.

*Czynienie dobra kształtuje
duchowe zdolności poznawcze*

Nasza epoka, która w pas kłania się nicości, sprowadza myśli i uczucia do neurofizjologii i w

duchowej kulturze widzi jedynie źródło cierpień, straciła czystość serca. Nic dziwnego. Ograniczyła serce do pompy tłoczącej krew, a jego religijne obrazy do sentymentalnych ozdobników, które ludzka wiara przekształciła w ziejące pustką siedlisko urojeń. Nie potrafiła natomiast dostrzec w nim duchowej retorty, gdzie cierpienie lub modlitwa prowadzi do oczyszczenia. Szekspirowski Król Lir, który poprzez cierpienie powoli uświadamia sobie iluzoryczność władzy, bogactwa i międzyludzkich stosunków opartych na interesie i korzyści,

nagle zdaje sobie sprawę z potrzeby oczyszczenia: „Człowiek nie zepsuty to takie właśnie jak ty biedne, gołe, dwunożne zwierzę. Precz, precz, pożyczone osłony!” Przed Bogiem nie ma miejsca na „pożyczone osłony”.

Toteż jeśli będziemy w stanie zrzucić z siebie “pożyczone osłony”, przyjdzie nam Boga spotkać wszędzie. Wcielenie — mówi Richard Rohr, amerykański franciszkanin, który zyskał sobie sławę niepospolitego nauczyciela duchowego — oznacza, że świat jest Jego kryjówką i zarazem objawieniem. Wiedzieli o tym zawsze mędrzy i myśliciele chrześcijańscy. Wiedzieli, że Bóg korzysta ze wszystkiego, by się do nas zbliżyć, nawet z naszych błędów. My ludzie zaś jesteśmy w stanie znaleźć Boga we wszystkim, nawet w tym, co rozbite, grzeszne, bolesne czy tragiczne. Nad wiarą opartą na Wcieleniu — mówi Richard Rohr — nikt nie jest w stanie panować. Bóg jest we wszystkim; nie możemy już wytyczać nieprzekraczalnych granic temu co boskie i ludzkie, duchowe i materialne, nie możemy niczego i nikogo ze sfery sacrum wykluczać. Bóg przychodzi do nas w przebraniu naszego życia i dlatego namacalna rzeczywistość jest Jego największym sojusznikiem. Jeżeli Bóg może objawić się jako dzieciątko w nędznej stajence — dodaje franciszkanin — to lepiej przygotujmy się na spotkanie z Nim w każdym miejscu i w każdym człowieku. Porzućmy rozpowszechnione przekonanie, że Boga mamy w czterech ścianach Kościoła; niech myśl o wypuszczeniu Go z tej bezpiecznej przestrzeni nie napawa nas przerażeniem.

Boga więc można spotkać wszędzie. W akcie wybaczenia, w śmierci bliskiej osoby, w narodzinach, w chorobie, w przeżyciu piękna czy prawdy. Te doznania mają moc otwierania nas na najgłębszy, choć najczęściej ukryty, wymiar rzeczywistości. Doznania zarówno głębokie i rzadkie, jak i codzienne, niepozorne, zwykłe. By poczuć Boga, by

dotknąć duchowej rzeczywistości, nie tylko myślą i wyobraźnią, lecz całym ciałem i duszą, nie musimy przeżywać ekstatycznych wizji, spotykać anioła czy podchodzić do gorejącego krzaka.

Bóg jest Bogiem objawionym, a zarazem ukrytym. Nie zdołamy zamknąć Go w żadnej świątyni, nie w naszej gestii spoczywa decyzja, gdzie wolno Mu się zatrzymać, gdzie zaś nie. Człowiek spotyka Boga, kiedy przekonał się, że najwyższa wiedza jest niewiedzą i że za każdym razem, gdy wymawia Jego imię, gdy pragnie pochwycić Go w sieć teologicznych czy filozoficznych pojęć, bliski jest profanacji i bluźnierstwa. Bóg nie jest bowiem ani rzeczą, ani pojęciem. Potraktowany jako przedmiot poznania, nie byłby już Bogiem. Owszem, wciela się w człowieka, pozostawia w naszym świecie swoje ślady, lecz zamieszkuje światłość niedostępną i żaden z ludzi Go nie widział (1 Tym 6,16).

Królestwo Boże nie przychodzi z łopotem sztandarów i przy dźwięku trąb. Nie musi. Bóg jest zawsze blisko człowieka — mówi Mistrz Eckhart — tylko człowiek jest od Boga daleko. Co więc należy czynić, by zmniejszyć ten dystans? By spotkanie z Bogiem miało miejsce w czasie spaceru z przyjacielem, podczas posiłku z bliskimi, w miłości, w rozmowie, w bólu; by te proste wydarzenia stały się przejrzyste, by odkryć w nich wymiar głębi i nieskończoności? Czy potrafimy całym sobą wyczuwać Jego obecność w każdym ziarnku piasku, i wszędzie słyszeć muzykę Jego Słowa? Jak tego dokonać? Czy wystarczy głęboka wiara, czy konieczne jest wejście na drogę medytacji i kontemplacji?

Nie, niekonieczne. "Jeśli ktoś wyobraża sobie — pisał Mistrz Eckhart — że w przeżyciach wewnętrznych, nabożeństwach, w słodkich zachwytach i w szczególnych łaskach Boga otrzymuje więcej niż przy kuchennym piecu lub w stajni, postępuje tak samo, jakby Bogu owinął płaszcz wokół głowy i wsunął go pod ławę. Kto bowiem Boga szuka w jakimś sposobie życia, chwytając ten sposób, traci zaś ukrytego w nim Boga, kto Boga szuka bez takiego sposobu, ujmuje go takim, jakim jest On sam w sobie (Kazanie 5B, tłum. Wiesław Szymona OP). A jeśli tak, to Boga możemy spotkać między rzeczami tego świata. To spotkanie dostępne jest każdemu człowiekowi; nie trzeba żyć w klasztorze czy należeć do kasty ludzi duchowo uzdolnionych. Jest wszakże jeden warunek: trzeba mieć czyste serce.

*Każda chwila naszego życia
może być Spotkaniem*

Powiesz być może,
Bartku, że kręcę się
w kółko, że
warunkiem dojścia
do przemienionej

świadomości otwartej na duchową rzeczywistość uczyniłem czyste serce, do którego równie trudno dotrzeć. Że czyste serce też wymaga modlitwy, kontemplacji, duchowych praktyk, miłości bliźniego. Na pewno tak. Ale wydaje mi się, że do czystego serca dochodzimy przede wszystkim przez ogołocenie własnej duszy, przez stworzenie w niej pustki. A nasze intelektualne, modlitewne i kontemplacyjne zabiegi są tylko drogą, która do niej prowadzi. Oczywiście nie do pustki zamkniętej w rozpacz, lecz otwartej na Boga, tak byśmy mogli zawsze stawać przed Nim nie tylko z ufnością i drżeniem, lecz także z czystym sercem i pustymi rękami. Bo nasze ręce muszą być puste, jeśli mają się przed Bogiem rozewrzeć i zostać napełnione.

I tak stajemy przed Nim — ogołoceni nie tylko z bogactw i dóbr, z życiowych masek i póż, lecz również z naszego ego, z całej zewnętrżności, w którą ochoczo wchodzimy, dostosowując się do świata. Tylko człowiek ogołocony ze wszystkiego — *ad nihilum redactus*, jak mówi św. Jan od Krzyża — jest w stanie przyjąć Jego dary. Dary nie byle jakie: wolność, miłość, partnerstwo, zbawienie. To ogołocenie, ta nicość, jakże różna od nihilizmu pozbawionego duchowej busoli człowieka, jest tym, co chrześcijanie z dawien dawna nazywali *vacare Deo* – pustką czekania na Boga. Na czym ona polega? Na tym, by w swoim własnym wnętrzu zrobić dla Niego miejsce, by mógł On wejść do czystego serca człowieka i stamtąd promieniować na całą jego istotę. A wtedy każda chwila naszego życia może być Spotkaniem, a każda rzecz Gorejącym Krzakiem.

Serdecznie,

Krzysztof

Przeczytaj odpowiedź Bartosza Jastrzębskiego

I część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Europejczyk stał się istotą duchowo zamkniętą

Bartosz Jastrzębski: Żądania tolerancji i świeckości mogą stać się tyranią tolerancji i ateizmu

II część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Sobór Trydencki powinien przyjąć dobre owoce Reformacji

Bartosz Jastrzębski: Protestantyzm wyniósł porządek świecki nad boski

III część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Poszukując Boga w ciemności i niewiedzy

Bartosz Jastrzębski: Religia, która nie tworzy sztuki nie jest prawdziwa

IV część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Gdzie iść po śmierci?

Bartosz Jastrzębski: Chrześcijaństwo całkowicie przenika duszę

V część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: O duchowej intuicji

Bartosz Jastrzębski: Bądźmy roztropni niczym węże

VI część korespondencji

Krzysztof Dorosz: Serce — najgłębsza istota człowieczeństwa

Bartosz Jastrzębski: Wewnętrzna przestrzeń spotkania z
Transcendencją

[1] Gwoli ścisłości godzi się powiedzieć, że myśl o przemienionej, jak i nieprzemienionej świadomości oraz o boskich archetypach jako o głębokich źródłach nieustannie odnawianych epifanii zaczerpnąłem od Philipa Sherrarda, zmarłego w 1995 roku Anglika z grona tzw. perenistów, poetę, tłumacza Filokalii, filozofa i teologa, który w wieku 34 lat przeszedł na prawosławie i większość życia spędził w Grecji.